



SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI

Ofensywa wiosenna czyli błysk napoleońskiego geniuszu

Przed stu dziewięćdziesięciu laty, podczas powstania listopadowego, polski oręż przeżył dni swojej wielkiej chwały. Ich echo rozległo się w całej Europie, zaś na carskim dworze już na dobre zaprzestano lekceważyć polskich buntowników.

Sławna Noc Listopadowa 29 listopada 1830 roku i późniejsza styczniowa detronizacja cara Mikołaja I jako władcy Królestwa Polskiego (Kongresowego) były wstępem do wojny polsko-rosyjskiej. Naprzeciw siebie, niczym w biblijnej przypowieści, stanęli Dawid i Goliat. Mogło się zdawać, że ogromne Imperium Rosyjskie, które poradziło sobie z Napoleonem i jego wystawioną przez pół Europy armią z łatwością zgniecie polskie powstanie. Jednak w krwawej bitwie o Olszynkę Grochowską w końcu lutego Polacy odparli dużo liczniejsze wojska feldmarszałka Iwana Dybicza, zaś pięć tygodni później sami przeszli do niespodziewanej ofensywy. Niewiele zabrakło, aby w zdecydowany sposób wpłynęła ona na losy całej kampanii.

W polskim dowództwie dostrzeżono atuty wynikające z zajmowania centralnej pozycji wyznaczonej przez Warszawę (gdzie zgromadzono główne siły) i prowadzenia działań po najkrótszych liniach wzdłuż utrzymanych w niezłym stanie traktach, głównie dobrze utwardzonej szosy brzeskiej, przeciwko rozczłonkowanym trzem zgrupowaniom wroga. Było oczywiste, że ze względu na oddzielenie od siebie dużym dystansem i fatalny stan lokalnych dróg, często przypominających grzędzawiska, nie byłyby one w stanie pospieszyć sobie dość szybko z pomocą.

Największy wkład w śmiały plan ofensywy, zaaprobowany ostatecznie przez wodza naczelnego Jana Skrzyneckiego, miał utalentowany oficer, kwatermistrz generalny Ignacy Prądzyński (od 4 kwietnia w stopniu generała brygady). Jego wadą było jednak przeszacowanie sił wroga i zbyt duża szczegółowość, co w konsekwencji miało ograniczyć skalę polskich sukcesów. Wykonawcami planu zostali generałowie: Ludwik Kicki, Antoni



SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI

Giełgud i Maciej Rybiński, których postawiono na czele trzech złożonych z piechoty, kawalerii i artylerii grup uderzeniowych. W natarciu, którego powodzenie zależało od idealnego zgrania działań, miało uczestniczyć około czterdzieści tysięcy żołnierzy, w tym osiem tysięcy kawalerii oraz artyleria piesza i konna z niemal 100 armatami.

Początek akcji wyznaczono na późny wieczór 30 marca. Polakom udało się zachować ją do samego końca w absolutnej tajemnicy. Równie niepostrzeżenie dla wroga przerzucono oddziały na praską stronę. Paweł Popiel, wspominając ten moment, napisał w swoich *Pamiętnikach*: „ciemną nocą w milczeniu, które nakazano, ruszyliśmy stępa ku mostowi. Całe wojsko przepравиło się jakby na rewii, żadnego zatoru”. Z pewnością Wielki Książę Konstanty, twórca i do niedawna wódz naczelny polskiej armii, byłby dumny patrząc, z jaką sprawnością jego „dzieci” dokonują niełatwego przecież manewru. Ale bez wątplenia już po upływie dwóch kolejnych dni duma ustąpić musiałaby konsternacji, gdyż Polacy w bitwach pod Wawrem i Dębem Wielkim, zadali dotkliwą porażkę rosyjskiemu VI korpusowi generała Rosena.

Pierwszego dnia walk rozbita została jego straż przednia pod dowództwem generała Geismara, zaś kilkadziesiąt godzin później ten sam los spotkał siły główne rosyjskiego korpusu. Rosen dokonywał cudów odwagi stając do boju naprzeciw zdecydowanie silniejszego przeciwnika, a po starciu, uchodząc z resztkami swoich oddziałów, myślał o samobójstwie. Nigdy w swojej karierze nie znalazł się podobnej sytuacji, a gorycz porażki była tym większa, że zadali mu ją tak bardzo lekceważeni na początku wojny Polacy.

Uczestnik stoczonych nazajutrz bitwy pod Dębem Wielkim, kawalerzysta Kajetan Sufczyński, tak z nieukrywaniem zaskoczeniem wspominał wygląd pobojuwiska usłanego trupami rosyjskich kawalerzystów: „Rzadko się zdarza po bitwie między kawalerią, widzieć taką ilość zabitych jaka leżała w tym miejscu, bo literalnie, z małym wyjątkiem, co ująć zdołała, wyrąbali karabinierzy i szasery pułk cały”. Sami kawalerzyści generała Kazimierza Skarżyńskiego zdobyli osiem dział i wzięli do niewoli około 1 300 oficerów i żołnierzy. Wszystko to za cenę dziewięciu zabitych i 42 rannych, co dowodzi jak wielką musieli mieć przewagę podczas walki. Nie ma wątpliwości, że do opisanego jatk w wielkim stopniu przyczyniła się ogólna jakościowa wyższość polskiej jazdy nad rosyjską i jakże duża, na jej korzyść, różnica w posługiwaniu się przez nią najstraszniejszą bronią ówczesnej kawalerii w postaci lancy.



SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI

Straty Rosjan podczas walk pod Wawrem i Dębem Wielkim sięgały 6 000 ludzi w zabitych, rannych i jeńcach, przy czym tych ostatnich było zdecydowanie najwięcej (w niektórych opracowaniach wskazuje się nawet 9 000 jeńców). Polacy według oficjalnych raportów utracili około 500 ludzi w zabitych, ale najprawdopodobniej tę liczbę należałoby dość znacznie podnieść. Duch w oddziałach był dobry, uniesieni pierwszymi zwycięstwami żołnierze chcieli się bić i należało kontynuować natarcie, aby przekuć je w poważniejszy triumf. Jednak Skrzynecki, nazwany przez rządową prasę z serwilistyczną unizonością „Polskim Leonidasem”, zrezygnował z mocnego uchwycenia inicjatywy w wojnie i nie poszedł za ciosem, dając wrogowi czas na ochłonięcie. Zaprzepaścił tym samym możliwość zniszczenia innych jego ugrupowań: Korpusu Gwardii oraz oddziałów feldmarszałka Fabiana Osten-Sackena. Jak wspominał późniejszy wódz powstania Wielkopolskiego 1848 r., Ludwik Mierosławski, Skrzynecki „... jedną nogą stąpał naprzód, a drugą w tył, jedną ręką sięgał po laur do Mińska, a drugą krępował się do Pragi”. Działo się to w momencie, który, być może, mógł mieć decydujące znaczenie dla losów wojny. Skrzynecki, którego rolę w powstaniu listopadowym na podstawie wielu zachowań i faktów należy uznać co najmniej za dwuznaczną, jeśli nie pachnącą zdradą, nie przyjmował żadnych argumentów, lekceważąc podstawowe zasady sztuki wojennej. Zamiast, korzystając z powstałej sytuacji, szybkim marszem iść na Siedlce stanowiące podstawę operacyjną Rosjan i śmiało ich zaatakować, rozpoczął zupełnie niepotrzebne przegrupowanie własnych oddziałów.

Wacław Tokarz, autor pomnikowego dzieła *Wojna polsko-rosyjska 1830 i 1831 roku*, nazwał dzień 2 kwietnia „... grobem wszystkich nadziei polskich”.

Skrzynecki, nie wnikając czy zrobił to świadomie, ze strachu bądź wyłącznie z powodu niekompetencji, przespał sposobny moment do zniszczenia choćby znacznej części armii Dybicza, ale na szczęście nie zdecydował się wycofać do Warszawy. Dzięki temu po kilku dniach wypełnionych niewielkimi starciami, na ogół zwycięskimi dla Polaków, doszło do bitwy pod Iganiami nad rzeką Muchawką nieopodal Siedlec.

Generał Geismar miał do dyspozycji około jedenaście tysięcy żołnierzy, Polacy, dowodzeni przez Prądyńskiego, mogli im przeciwstawić siedem tysięcy ludzi. Podobno za wdaniem się w bitwę najbardziej optował Józef Bem, przyszły bohater Polski i Węgier, który przekonał Prądyńskiego, że mimo dysproporcji sił zwycięstwo jest możliwe do



SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI

osiągnięcia i czym prędzej należy uderzać na wroga. Generał Załuski napisał później, iż „bitwa pod Iganiami [...], tak jak była, może by się nie udała, gdyby nie było Bema. Bem, acz w niskim stopniu jeszcze, ale dowódca przedniej baterii konnej, ożywił Prądyńskiego i okrył go chwałą”. Jakby w rzeczywistości nie było, doszło do batalii, która została przez wielu uznana za największy triumf polskiego oręża podczas powstania listopadowego. W jej trakcie poza Bemem i kierowaną przez niego artylerią, obrzucającą wroga stanowiska nawałą ognia, wspaniale sprawdziła się polska piechota, której zażarte ataki doprowadziły do zmasakrowania tzw. „Lwów warneńskich”, którym to przydomkiem chlubili się żołnierze 13. i 14. pułków strzelców, wslawieni odwagą podczas wojny tureckiej i bitwy pod Warną. Zdziesiątkowane zostały również pułki wołyński i miński. Wedle Prądyńskiego „Major Bem z nieustraszoną odwagą posuwał ciągle swoje działa naprzód półbateriami i, wyprzedzając piechotę, ułatwiał jej drogę”. Na nie mniejsze pochwały zasłużyli ułani, którzy mimo ostrzału artyleryjskiego dosłownie orzące ich szeregi utrzymali szyk i zwycięsko ścinali się z nieprzyjacielską jazdą. Rosjanie, mimo przewagi liczebnej i dobrej pozycji, nie wytrzymali polskiego naporu i rozpoczęli odwrót. Kilkugodzinna batalia kosztowała ich od trzech do pięciu tysięcy zabitych i zaginionych. Prądyński stracił niespełna pięciuset zabitych. Bitwa pod Iganiami, pomimo wcześniejszych wielokrotnych i karygodnych błędów Skrzyneckiego, ukazała w całej jaskrawości możliwości powstańczej armii i jej zdecydowaną wyższość nad przeciwnikiem. Ale rozkaz do pościgu za rozproszonymi i uchodzącymi w panice Rosjanami już z jego ust nie padł. Niespełna dwutygodniowa, świetnie zapowiadająca się ofensywa dobiegła kresu.

W sztabie rosyjskim z ulgą przyjęto decyzję polskiego wodza naczelnego. Dybiczem, jego wyższymi oficerami, ale też zwykłymi żołnierzami, którym przyszło się bezpośrednio mierzyć z Polakami, wstrząsnęła ich niesłychana zadziorność i sprawność bojowa. Jak się potem okazało, również w Petersburgu polskie natarcie wywołało poważne zaniepokojenie.

Sami Polacy nie do końca jednak zdawali sobie sprawę ze skali sukcesów osiągniętych w pierwszej dekadzie kwietnia. W każdym razie dalecy byli od przekonania, że wiosenna ofensywa mogła przynieść przełom w wojnie z Rosją. Upływ czasu wpłynął na jej ocenę. Po latach Prądyński napisał, że: „... trzy dni (miał na myśli bitwę Igańską, dzień przed



SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI

nią i po niej) zakończyły dla Polaków kilkutygodniowy okres, w którym fortuna dała wyższość strategiczną, taktyczną i moralną, zgoła zupełną wyższość wojenną, okres czasu, w którym od nich zależało odzyskać za jednym pędem Dźwinę i Dniepr”. Zagalopował się wskazując terytoria z utrzymaniem których kłopoty miewała potężna Rzeczpospolita Obojga Narodów, ale z jego oceną współgrała opinia rosyjskiego generała i historyka, Aleksandra Puzyrewskiego. Dla żyjącego w latach 1845-1904 autora opracowania *Wojna polsko-rosyjska 1831* było najzupełniej oczywiste, że pierwsze dni kwietnia i bitwa pod Iganiami zupełnie zmieniły układ sił i dały Polakom przewagę w wojnie. Należało ją tylko odważnie wykorzystać.

Szerokim echem odbiły się polskie dokonania za granicą. W brukselskim dzienniku *„L’Émancipation porównano je do triumfów Napoleona, zaś autor dał się ponieść egzaltacji pisząc: „Aż do tej chwili niektórzy zapatrywali się na przedsięwzięcie Polaków jak na heroiczne zuchwalstwo, dzisiaj jednak należy w nim widzieć wielkie narodowe poświęcenie się, które przyniesie niepodległość i wolność. Nie ma nic bardziej wielkiego i godnego podziwu w annałach nowożytnej historii”*.

Pięknej i jakże krzepiącej prognozy belgijskiego dziennikarza Polakom nie udało się jednak przekuć w fakt.